

Bośnia i Hercegowina 2016 – Terra incognita

4 maja 2016

Bośnia to kraj, gdzie wojna nie ma początku ani końca. Jest lustrem, w którym odbijają się pokolenia i ważną składową bałkańskiej tożsamości.

Bośniacy lubią podkreślać, że ich kraj ma kształt serca. I tak się właśnie definiują: jako serce dawnej Jugosławii. Serbowie byli budowniczymi i mózgami tego projektu. A Bośniacy byli od tego, żeby czuć. Obie te nacje noszą w sobie poczucie wyjątkowości. Są też Serbowie i Bośniacy po słowiańsku sentymentalni, czego brakuje Chorwatom i Słoweńcom. Oni wzięli kapitalizm za rogi i wygrali. Żyją tu i teraz. Bośniacy z jednej strony płaczą za wczorajszym dniem, z drugiej przeklinają go. Czas zatrzymał się dla nich nie pod względem braku dostępności smartfonów czy szybkich kolei. Mieszkańcy stolicy pielęgnują w sobie 100 dni oblężenia Sarajewa, podobnie jak warszawiacy swoje powstanie, z tym, że wspomnienie 1995 roku nie jest już dla nich tak odległe, jak dla nas roku 1945. Dla wielu to realne „wczoraj”. „Wczoraj”, które sprawiło, że zawaliło się wszystko, co znali. My po drugiej wojnie nie mieliśmy przecież żadnej trzeciej.

„Mi smo bili Amerika” – dają do zrozumienia, że kiedyś – przed rozerwaniem Jugosławii – „wszystko było inaczej”. Byli u siebie. Mieli swoją małą stabilizację, nie czuli się pośmiewiskiem Europy, obiektem litości zachodu ani adresatem paczek z pomocą humanitarną. Ciężko jest żyć ze świadomością, że nie dotyczy ich hasło „najlepsze jeszcze przed nami”. Przed nimi wyłącznie nieznane, bo „najlepsze”, zdaje się, już było. W latach 70. splotły się ze sobą niesamowity skok techniczno-cywilizacyjny, kosmopolityczne ambicje młodych dorastających w Jugosławii i tradycja Sarajewa jako miasta czterech kultur: muzułmańskiej, żydowskiej, katolickiej i prawosławnej. Plus

Romowie. Sarajewo lubi podkreślać swoją wyższość nad Jerozolimą: „ona jest miastem tylko trzech wielkich religii. Tutaj jest wszystko”.

Metafizyka Sarajewa, o której napisano tysiące banałów w tysiącach przewodników, przejawia się właśnie w pozostałościach i śladach po tej niegdysiejszej mieszance. Dziś sarajewskie społeczeństwo jest bardziej zunifikowane, choć osie podziałów nadal wyznaczają kategorie narodowości, religii, stosunku do inności. Podziały były, są i będą. Tendencję, by dzielić się i odgradzać człowiek Bałkanów doprowadził do poziomu mistrzostwa. Podzielony jest nawet nikły procent Serbów, którzy ostali się w Kosowie. Jedni domagają się więcej autonomii w ramach republiki, drudzy negują państwowość Kosowa i żądają włączenia do Serbii. Zwalczając się wzajemnie.

Bośnia po traktacie z Dayton podzielona jest na część chorwacko-muzułmańską i serbską. Obie mają osobne parlamenty i rządy. Coraz częściej słychać pomruki niezadowolenia Chorwatów, którzy domagają się wydzielenia „swojego” regionu. Opozycja narzucona niejako „administracyjnie” czyli Serbowie kontra reszta – dziś się dezaktualizuje. Zwłaszcza, że Serbom z Belgradu nie bardzo się widzi branie odpowiedzialności za bośniackich ziomków. Postrzegają ich jako przeszkodę na drodze szybkiego ruchu do Unii, którą mknie rzutki premier Vučić. Najnowszy serbski dogmat głosi, że to ci bośniaccy rozpętali wojnę. Teraz więc nie należy na nich się oglądać. Taki ciężar nie jest zresztą powoli podnoszącemu się z upadku Belgradowi potrzebny. Bośniaccy mrzonkę o przyłączeniu do Serbii porzucili już dawno. Byłoby to zresztą skomplikowane z geograficznego punktu widzenia. Serbska część jest porwana, przedzielona na północy niezależnym, zdemilitaryzowanym dystryktem Brčko pod kontrolą międzynarodową, nie można jej po prostu anektować. Serbowie z republiki, zostawieni sami sobie, rządzą się więc tym, co mają w ramach narzuconej państwowości.

Konstytucja Bośni jest archaiczna, pogłębia antagonizmy, nie

przystaje do jej proeuropejskich ambicji. Dla Bośniaków Unia jest jeszcze nadzieją na finansowe odbicie się kraju od dna, choć z każdym dniem już coraz mniej realną. Tymczasem swoją odrębność coraz częściej manifestują „zamknięci” w jednej części Muzułmanie i Chorwaci. Ich dzieci chodzą do osobnych szkół. Krytyce międzynarodowej poddaje się podstawówki, gdzie jedna nacja ma na rano, druga na popołudnie i zamiast uczyć się współistnieć, dzieci mijają się w drzwiach. To jednak i tak lepsze – mówią miejscowi – niż całkowita izolacja. Przynajmniej dociera do nich, że obok egzystuje ktoś jeszcze.

Jednak prawdziwie wykluczeni są dziś w Bośni tylko Romowie. Międzynarodowa Organizacja Pracy, stosując różne metodologie, bezrobocie zamyka w widełkach 27-43 proc. „Socjal” to tylko puste słowo. Młodzi po studiach korzystają ze wsparcia rodziców i dalszych członków rodziny, łapią dorywcze zajęcia, pożyczają sobie pieniądze. Siedzenie na garnuszku matki w wieku 24 lat to norma, która nikogo nie razi. W dobrym tonie jest mieć nowego smartfona i firmowe ciuchy, choćby dwa na zmianę, choćby w mieszkaniu od tygodni nie było ciepłej wody. Lokalni Romowie rzadko kiedy jednak kończą nawet szkołę średnią. Zazwyczaj wynoszą się na obrzeża miasta. Nie przemieszczają się tak chętnie jak ich kuzyni z Europy Środkowej, prowadzą osiadły tryb życia. Jeśli pracują, to zazwyczaj jako sprzedawcy na bazarach. Wygrzebują ze śmietników to, co potrzebne im do życia, wielu z nich żebrze. Nieliczni, którym się udało, handlują samochodami. Oni też zwykle wyczarowują najnowsze modele telefonów i noszą się jak klasa średnia. Czasem logo „LV” okazuje się słabo podrobione i spiera się szybciej, nie szkodzi.

* * *

Bośnia jest jak ubogi kuzyn, który, kiedy przyjeżdża w odwiedziny do schludnej i pełnej rezerwy Europy, nie tylko nie zdejmie w progu ubłoconych butów, ale, prowokowany dyskretnym pochrząkiwaniem, jeszcze demonstracyjnie położy je na stole. Bośniacy mają zainstalowany przełącznik: poza swoim

terytorium, gdzie nie czują się pewnie, zgrywają cwaniaków i gierojów twardej kapitalistycznej codzienności. Kiedy jednak to oni są gospodarzami, za swojego gościa dadzą się pokroić. Gdy ciągnie się ich za język, mówiąc o mitycznych złotych czasach, zaczynają płakać na środku ulicy. Są uczuciowi, często afektowani. Słyszając swoją mowę u obcokrajowca, reagują niezrozumiałą dla większości Europejczyków ekscytacją.

Wiedeński Erdberg, ogłaszający się szumnie jako Vienna International Bus Station, to przyczółek piątego świata. Można dostać się stamtąd tylko do Europy Środkowej lub dalej na południe. Uderza różnica między nowoczesnym, dobrze oznaczonym lotniskiem, gdzie z bramek wylewają się ludzie z neseserami, w prążkowanych koszulach i marynarkach. Na Erdbergu przez cały dzień koczują cygańskie rodziny z niemowlakami, przeklejone do rzeczywistości z filmów Kusturicy. Taksują mnie wzrokiem młodzieńcy o aparycji seryjnych morderców. Jeden ma łuk i strzały wytatuowane na wygolonej skroni. Drugi typ mężczyzn bytujących na Erdbergu to hipis z kolorowym plecakiem, podsypiający w kącie. Jest też jedna dziewczyna, również podróżująca samotnie. Jej akcent, gdy mówi po angielsku, jest jednak z niemiecka twardy. Na twarzy ma wypisane, że na imię ma Ingrid lub Karin. Ja jestem gdzieś pośrodku. Moje jasne włosy i skóra różnią się od cygańskich, grubo ciosanych rysów kobiet, do jakich przyzwyczajeni są Serbowie i Chorwaci, którzy mnie zaczepiają. Imię, którym się przedstawiam (Vera), brzmi dla nich znajomo, jest popularne na Bałkanach. Jestem inna, ale wschodnia. „Ruskinja?” – pytają. To ich pierwsza myśl. Rosja ma pozytywne konotacje. Polska też. Wiedzą, że byliśmy pod zaborami, imponuje im nasz patriotyzm i woła walki. Nie wiedzą więcej ponad to, że łączy nas doświadczenie wojny.

Jadę bośniackimi liniami. Kierowcy burczą na mnie, gdy zbyt długo szukam biletu. Pokrzykują, słysząc, że wcześniej w okienku odprawiłam się po angielsku. Starają się zabrzmieć możliwie groźnie. W pewnym momencie wyciągają ręce po

dodatkową, wymyśloną opłatę za bagaż. Takie małe zemsty na zachodniej Europie praktykują chętnie i często. Reaguję płomienną przemową, wygłoszoną łamanym po kilku latach przerwy serbskim. Panowie, nie tak pamiętam waszą bałkańską gościnność. Nie okrada się przyjaciół! Celowo używam typowo serbskiego określenia „drug”, będącego również odpowiednikiem komunistycznego „towarzysza”. Wciskają mi kwitek od walizki, jakby ich parzył. Pieniędzy nie biorą, honor nie pozwala oszwabić „swojaka”, mówiącego ich językiem emocji i ich językiem literalnie.

* * *

Polakom często czyni się zarzut, że uwielbiają martyrologie, że Warszawa przesiąknięta jest pamięcią o męczeństwie i cierpieniu. Ci, którzy nie mogą znieść rodzimego kultu świętej śmierci, nie wytrzymają w Sarajewie ani chwili. Unosi się nad nim coś fatalnego. Prędzej czy później w Sarajewie zaczniesz rozmawiać i myśleć o śmierci. O przekleństwie tego miasta i o tym niesamowitym kulturowym dziedzictwie, które miejscowi noszą z dumą jak wojenną szramę, ale i które ciąży im i pobrzękuje łańcuchem u nóg.

Nawet mapa miasta jest nakreślona metafizyką trzech wojen. Plac Dzieci Sarajewa, Droga Życia, Obrońców Sarajewa, Marszałka Tita, Młodych Muzułmanów, Smoka z Bośni, Zielonych Beretów – to symboliczne nazwy ulic w centrum miasta i jego pobliżu. Pewnym zaskoczeniem dla przybysza może być stały element architektury w postaci domów podziurawionych kulami, czy rozbryzganych na chodniku plam czerwonej żywicy, upamiętniających miejsca, gdzie ginęli mieszkańcy. Aleja Smoka z Bośni to nazwa oficjalna, ale nikt jej tu nie używa. To przecież Aleja Snajperów. Podczas oblężenia Sarajewa przez Serbów, prowadziła do jedyne go źródła czystej wody. Przeprawa graniczyła z cudem, jeśli nie korzystało się z pomocy ONZ, mającej na stanie transportery opancerzone. Hasło „Pazi! Snajper!” jest już memem, tak jak warszawska powstańcza kotwica. Według oficjalnych danych z 1995 roku, snajperzy

zabili tam 225 osób, w tym 60 dzieci.

Na ulicach spotykam cały świat: kobiety w czadorach, grupy japońskich turystów z aparatami, wiecznych Erasmusów – studentów na wymianie, Cyganki z ortalionowymi torbami na kółkach w kratkę. Starzy muzułmanie zaciągają się sziszą w kafejkach na starym mieście. Na Bałkanach popularna jest kultura wysiadzania na ławkach. Wielu mężczyzn w wieku nieokreślonym, po pięćdziesiątce, ale jeszcze przed emeryturą, z dumą prezentuje swoje kalectwo: brak nogi lub ręki. Niektórzy obwieszają się starymi medalami jak choinki. Czasem wpadnie kilka marek. W hierarchii ulicznych naciągaczy stoją wyżej niż grajkowie.

Pośrodku miasta płonie pochodnia Vječna Vatra – Wieczny Ogień. Ambicją Bośniaków było, by płonął nieprzerwanie od 1946 roku, w hołdzie poległym podczas drugiej wojny światowej. Cofając się w czasie i kierując nieco na południe, nad rzekę – dochodzimy i do wojny pierwszej. Kule, które rękami Gavrila Principa krnąbrni Serbowie posłali w 1914 Austro-Węgrom na łacińskim Moście, rozpętały piekło w Europie na cztery lata. Historycy z Bośni mówią dziś o tym trochę z dumą dziecka, które podłożyło statecznemu wujkowi pod siedzenie pierdzącą poduszkę, czym wyprowadziło go z równowagi. To też część ich legendy, tragicznej i wzniosłej zarazem, jak wszystko tutaj. Dziś to również produkt, który dobrze się sprzedaje. Sarajewo jest miejscem, w którym wojna nie kończy się nigdy.

* * *

Drugi co do popularności symbol bośniackiego tragizmu po „Pazi! Snajper!” to hasło „UN – United Nothing”, nawiązujące do bezradności sił pokojowych, które nie zdołały zapobiec zagładzie tysięcy cywilów w serbskiej Srebrenicy na wschodzie kraju. To, co działo się w lipcu 1995 w Srebrenicy i pobliskim Potočari, uznane zostało za największą masakrę ludności cywilnej po drugiej wojnie światowej.

W Centrum Pamięci Srebrenica – Potočari za 20 marek można kupić koszulkę „United Nothing” i przedmioty z motywem Srebrenickiego Kwiatu (zielony środek symbolizuje nadzieję, biel płatków – niewinność. Płatków jest 11 – na pamiątkę 11 lipca). Mauzoleum ufundował bośniackim mężczyznom Bill Clinton w 2003 roku. To miejsce, z którego chce się uciekać. 24 godziny na dobę pilnują go uzbrojeni żołnierze. Napis na jednym z pomników głosi w trzech językach:

„W imię Boga, Najbardziej Miłosiernego, Najbardziej Litościwego

Modlimy się do Boga Wszechmogącego:

Niech żal stanie się nadzieją!

Niech zemsta stanie się sprawiedliwością!

Niech łzy matek staną się modlitwami.

Aby Srebrenica nigdy nie wydarzyła się ponownie.

Nikommu i nigdzie!”.

Ale Srebrenica to nie tylko ten jeden, feralny dzień, kiedy serbscy żołnierze wywieźli i zamordowali 8 tysięcy muzułmańskich chłopców i mężczyzn, oddzieliwszy od nich uprzednio kobiety i dzieci. Srebrenica to również dramatyczne próby ucieczki 3 tysięcy mężczyzn z terenów kontrolowanych przez Serbów do baz ONZ przez góry. To naloty na okoliczne wioski, ostrzelanie grającej w piłkę nożną grupy chłopców z góry Zvijezda. To egzekucje, które wykonywano na każdym nieserbaskim mężczyźnie od 12. do 77. roku życia. 11 lipca zamordowano ich 8 tysięcy. Prawdziwych ofiar Srebrenicy jest więcej. W 1991 roku żyło tam 40 tys. ludzi. 2/3 z nich stanowili Muzułmanie, Serbowie byli w mniejszości. Gdy wybuchła wojna, Srebrenicę ogłoszono strefą zdemilitaryzowaną, pozostającą pod kontrolą ONZ. Belgrad nie godził się na to od samego początku. Postanowił odciąć od siebie poszczególne miasteczka w regionie. Latem 1995 głód ogarnął już nawet bazy ONZ, które przestały być wydolne i kazały muzułmańskim uchodźcom, szukającym schronienia, opuścić swój teren. Nikt już nie wierzył, że Narody Zjednoczone pomogą komukolwiek

bezpiecznie się ewakuować.

Ekshumacje i identyfikacja ofiar zakopanych w zbiorowej, sporządzonej naprędce mogile, trwają tak naprawdę do dziś. Szukając winnych, podaje się zwykle trzy wielkie nazwiska: Mladić, Karadžić, Milošević. Belgrad broni się, twierdząc, że liczbę ofiar znacznie zawyżono. Serbska propaganda prezentuje też Srebrenicę w kontekście zemsty za napady muzułmańskiej partyzantki na lokalnych Serbów, których oddziały Nasera Oricia zamordować miały około 1500. Srebrenica była dla NATO sygnałem do rozpoczęcia bombardowania pozycji bośniackich Serbów. Niektórzy kombatan ci bośniaccy mówią, że był to czysty polityczny deal między Sarajewem i Waszyngtonem. Były szef bośniackiej policji w Srebrenicy Hakija Meholjić twierdzi, że na własne uszy słyszał wypowiedź ówczesnego prezydenta Bośni Izetbegovicia, jakoby Clinton proponował mu, że wkroczy do Bośni i zakończy wojnę, jeżeli otrzyma ku temu dogodny pretekst. Pretekstem miało być pozwolenie na wkroczenie czetników do Srebrenicy i poświęcenie 5 tysięcy cywilów. Tak NATO przyniosło Bałkanom pokój.

* * *

Co to znaczy być dziś „lewakiem” w Sarajewie? Ni mniej ni więcej, jak marzycielem, idealistą, wolnościowcem, nieszkodliwym naiwniakiem. Nie jest to wyzwisko, jak w Polsce. Zarówno ich lewicowość, jak i nacjonalizmy są inne od naszych. Nacjonalizmy nie są wymierzone w lewicę, ale w inne, sąsiednie nacjonalizmy. Poglądy polityczne nie stanowią tu pola do konfliktów. Niewielką reprezentację w parlamencie ma socjaldemokratyczna SDP, zbliżona do naszego SLD. W retoryce jest lewicowa, w praktyce to coś na kształt neoliberalnej gospodarczo partii Janusza Palikota. Również dostali swoją szansę, by rządzić. Dla „zwykłego człowieka” zrobili niewiele.

Teraz rządzi konserwatywna prawica, która lewicowców nie zwalcza, bo kompletnie nie ma takiej potrzeby. Zajęta jest gonitwą za uciekającym snem o Unii. Muzułmańska Partia Akcji

Demokratycznej stara się prezentować kosmopolityzm, otwarcie deklaruje proeuropejskie sympatie. Problemem dla wyborców jest paraliżująca życie biurokracja. Zresztą ostatnie wielkie protesty uliczne z 2014 roku nie były wymierzone w nikogo osobiście ani instytucjonalnie, ale w „urzędniczą dyktaturę”. Bośniacy mają dość dźwigania na plecach drogiego, rozległego aparatu. Został on zbudowany po wojnie, aby każda z trzech zamieszkujących Bośnię nacji miała swoich reprezentantów na poziomie samorządów i parlamentu. Parytet etniczny w bośniackim wydaniu dochodzi do absurdu – na wiele stanowisk powoływanych jest trzech reprezentantów: Muzułmanin, Chorwat i Serb. Każdy z nich ma swoich zastępców, którzy mają swoich zastępców i tak etaty idą w setki, a żeby załatwić cokolwiek w miarę sprawnie, i tak trzeba dać łapówkę. Na utrzymanie urzędników idzie 40 proc. rocznego PKB.

Dwa lata temu swoje niezadowolenie wykrzyczeli mieszkańcy ponad 30 miast. Dodatkowo zjadła ich prywatyzacja. Zwalniano całe załogi państwowych przedsiębiorstw, ludzie zostali bez pracy, nie wypłacono im zaległych pensji. Od 1998 roku rządzi prywatne. Zwalnia, zamyka się, wyrastają mu nowe głowy. Politycy boją się prywaciarzy. Nie chcą im robić pod górkę.

Sarajewo komunizm wspomina z rozrzewnieniem. Czerwień marksistowska jest tu akceptowana powszechnie, ma negatywne konotacje jedynie wtedy, gdy otwarcie odwołuje się do tradycji czetnickiej partyzantki. Anarchiści, wszelkiej maści młodzi lewicowcy i wolnomyśliciele łączą się pod szerokim szyldem ruchu „Antifašizam”. Protestują przeciwko widzeniu świata przez etniczne soczewki. Również ten ruch ma swoje flanki: radykalną – otwarcie proczetnicką i umiarkowaną, intelektualną. Doskonale kontrast ten uosabiają moi rozmówcy: komunistyczny dziennikarz Vuk Bačanović, najbardziej rozpoznawalna twarz antyfaszystów i Mario Hibert, wykładowca literatury porównawczej na uniwersytecie w Sarajewie, sceptyczny wobec działań „starej” lewicy, a nastawiony na budowanie struktur globalnych.

Feministki w Sarajewie? Tak, jest stowarzyszenie „Cure” i „Crvena”. Ale bośniackie feministki to zupełnie inna bajka – ostatnia większa manifestacja dotyczyła... prawa do noszenia chust. Zaczęło się od zarządzenia, że pracownikom sądów w Bośni i Hercegowinie nie wolno nosić symboli religijnych. W obronie chusty stanęły solidarnie muzułmańskie feministki, argumentując, że hidżab to sprawa tożsamościowa, nie wyznaniowa. Urzędnicy szybko wycofali się z wprowadzenia w życie nowego przepisu. Protestujące muzułmanki poparły wówczas kobiety katolickie i niewierzące, choć wiele z nich było świadomych backlashowego wymiaru całej akcji: oto wyemancypowane kobiety stanęły w obronie swojego prawa do demonstracyjnego wpisania w patriarchalny system, każący zakrywać swoje piękno przed obcymi mężczyznami. Prócz tego, feministki w Bośni walczą z drobnymi, ale wyczerpującymi przejawami patriarchy dnia codziennego. Kobiety wszystkich wyznań i narodowości idą na uniwersytety, piszą doktoraty i pną się na szczyt w korporacjach. Ale to do nich po powrocie do domu należy zrobienie prania i zaopatrzenie lodówki. Model „on gotuje/sprząta co drugi dzień” jest niepopularny. Nie wiedzą, że tak można. Sprawy większej wagi mają załatwione. Aborcję się robi i tyle. Każdy to rozumie. W prywatnym gabinecie przerwanie ciąży kosztuje 50 euro – to trochę ponad 200 złotych.

Wreszcie rzecz, o której dyskutuje dziś cała Europa: uchodźcy. Mimo że literalnie problem kryzysu migracyjnego ominął Bośnię, leżącą uciekinierom z Syrii po prostu nie po drodze, chorwacko-muzułmańska część silnie solidaryzuje się z pokrzywdzonymi. Lokalne muzułmańskie autorytety oficjalnie potępiają działania Państwa Islamskiego. Do Bośni żadni uchodźcy fizycznie nie dotrą. Ale muzułmańska solidarność każe Boszniakom trzymać kciuki. Sami uciekali kiedyś przed żołnierzami Mładcia. Muzułmanie bośniaccy stanowią zresztą doskonałą odtrutkę na stereotyp dżihadysty obcinającego głowy. To „dobrzy muzułmanie”, wpisani w bałkański krajobraz od wieków, z lekcjami pokojowego współistnienia odrobionymi na

pięć. Wkrótce będzie ich jeszcze więcej. Turcy, niezadowoleni z jakości życia pod Erdoganem, chętnie inwestują w Bośni i budują tu osiedla. Kilka już powstaje.

Autorstwo: Weronika Książek

Źródło: Strajk.eu